ORLĘTA

„LILLA WENEDA"

Przy wieży biała księżycem dziewica
Siedzi, na harfie grająca; a przy niej
W krąg stoją węże, tak wyprostowane,
Jak morska fala wzdęta nad dziewczyną;
Ona te węże czarodziejską pieśnią
Zaczarowane trzyma...

Juljusz Słowacki



„Lilla Weneda" Mal. E. Andriolli

№ 5. Ilustrowany dwutygodnik dla młodzieży Rok I.

Cena egz. 25 gr.

TO i OWO

„To, co robisz, dopóki masz w robocie, uważaj za rzecz najważniejszą ze wszystkich na świecie".

W PARU WIERSZACH.

Od 1-8 maja b. r. odbyły się w Poznaniu Międzynarodowe Targi, na których zostały wystawione obok krajowych towarów i zagraniczne w dość dużej ilości, bo stanowiące 30% całej wystawy. Targi były zwiedzane przez liczne wycieczki kupców z różnych krajów, nawet z poza Europy i przyczyniły się w znacznej mierze do poznania polskich towarów przez odbiorców zagranicznych, z którymi nasi wystawcy pozawierali korzystne umowy. Tegoroczne Targi w Poznaniu zaciekawiły zagranicę naszym przemysłem i handlem, co może mieć dla nas dobre skutki na przyszłość.

*

Dnia 24 kwietnia została uroczyście otwarta radjo-stacja nadawcza w Poznaniu.

Trzecia ta placówka staje się ostoją polskiego ducha i kultury dla tych rodaków, którzy odcięci pobliską granicą państwa niemieckiego, tak mało słyszą języka rodzinnego.

Stąd „Radjo-Poznańskie ma przed sobą wielką i odpowiedzialną pracę — około umacniania i budowy polskich dusz pod zaborem niemieckim.

*

W połowie maja rozpocznie się w Katowicach budowa radjo-stacji nadawczej, na wzgórzu między Brynowem a Katowicką Hałdą, za parkiem Kościuszki. Maszty, na których rozpięta będzie antena, rozstawione będą na przestrzeni blisko 120 m. kw. Wysokość masztu wynosić będzie 80 m. Stacja katowicka będzie znacznie silniejszą od stacji nadawczej w Gliwicach, gdyż siła jej wynosić będzie 5 kilowatów, gliwicka ma zaledwie 1½ kilowata. W końcu września b. r. stacja katowicka zostanie już uruchomiona. Będzie to już 4-ta zrzędu w Polsce.

Z NASZEGO MORZA.

Rząd postanowił utworzyć *polską linję okrętową* do Bliskiego Wschodu.

W tym celu rozpisał konkurs na budowę nowych statków morskich, Najtańszą ofertę złożyła „Stabilimento Technico" po niej następuje Stocznia Gdańska. Jeżeli Stocznia Gdańska obniży cenę do wysokości Stabilimento Technico, wtedy całe zamówienie podzielone zostanie pomiędzy obie stocznie. Według warunków umowy pierwszy statek byłby wykończony w 13-tym miesiącu od chwili zamówienia, następne w miesiąc później. Koszta budowy, całkowitego wyposażenia jednego statku, z uwzględnieniem najnowszych urządzeń technicznych, wyniosą około 83.000 funtów szterlingów. (około 3,5 miljona złotych.

*

Rząd postanowił przenieść Szkołę Morską, kształcącą przyszłych oficerów naszej marynarki handlowej, z Tczewa do Gdyni. Obecnie wyznaczono już odpowiednie miejsce, gdzie ma stanąć gmach przyszłej szkoły, którego budowa rozpocznie się jeszcze w b. r. Przeniesienia Szkoły można się spodziewać dopiero na wiosnę roku 1929. Powodem przeniesienia jest chęć bezpośredniego obcowania i zżycia się z morzem wychowanków szkoły.

POLACY NA OBCZYŹNIE.

Kolonja polska w Estonji składa się w przeważnej części z robotników i liczy około 2000 osób. Polacy są porozrzucani po miastach i osadach fabrycznych, jak Narwa, Tallin, Dorpat, Parnawa, to też zorganizowanie życia kulturalnego kolonji napotyka na poważne trudności.

Wysokość płacy zarobkowej w Estonji jest tak mała, że zarobki, przeszło 60% robotnikom nie wystarczają na utrzymanie.

Z LOTNICTWA.

W czasie lotu, z Londynu do Rotterdamu, zaskoczyła pilota holenderskiego tak silna mgła, iż zupełnie stała się niemożliwą orjentacja wzrokowa.

W czasie tej podróży, nieustraszony lotnik, zaczął się posługiwać, radjem, które działało tak sprawnie, że samolot nietylko że nie zmylił drogi, ale przybył w oznaczonej godzinie do celu podróży.

Radjo oddaje więc coraz większe usługi człowiekowi, nawet wysoko nad ziemią: zwiększa bezpieczeństwo lotu, umożliwia podróż podczas złej pogody, a nawet w nocy.

Podrożni w czasie lotu mogą słuchać koncertów, wykładów nadawanych z różnych stacyj nadawczych, a nawet prowadzić rozmowy z ziemią, określając gdzie w danej chwili przelatują i co spostrzegają.

Może to przynieść ważne usługi człowiekowi w jego postępie i odkrywaniu coraz nowych tajemnic przyrody.

NOWINY SPORTOWE.

Udział polskich kawalerzystów na międzynarodowych zawodach hippicznych w Nicei skończył się naogół dość pomyślnie. Polska zajęła w ogólnej klasyfikacji 2-gie miejsce.

*

Rekordowa ilość widzów bo 10.000 przyglądała się zawodom piłkarskim o mistrzostwo Polski między najstarszym klubem w Polsce „Pogonią" ze Lwowa, a niemieckim klubem „1 F. C." w Katowicach. Zawody stały na niskim poziomie i pomimo wyższego poziomu gry Pogoni, skończyły się jej przegraną w stosunku 1:0.

Dwutygodnik ilustrowany

ORLĘTA

dla młodzieży polskiej

NUMER 5.  KATOWICE, DN. 15-GO MAJA 1927 R.  ROK I.

Czytaj tylko dzieła wiekopomne!

Stawy Ciemnosmereczyńskie albo Koprowe w Tatrach. rys. WALERY ELJASZ

MARJA GERSON-DĄBROWSKA

„DO BRONI!"

Jest w Paryżu plac okrągły, z którego gwiaździsto rozchodzą się ulice w różne strony miasta. Zowią go placem „Gwiazdy". Na tym to placu, w samym jego środku stoi olbrzymia brama murowana, zbudowana na wzór starożytnych, rzymskich bram triumfalnych, które wznoszono na cześć zwycięzców. Łuk triumfalny w Paryżu, zbudował Napoleon I w r. 1806 — dokończono go jednak ostatecznie znacznie później. Rozmiary łuku są kolosalne, wysokość wynosi 50 metr. czyli kilka piętr; ludzie stojący u jego podnóża wyglądają jak muszki; ze szczytu bramy rozciąga się widok prześliczny na Paryż na jego ogrody i zadrzewione ulice. Nie wielkość jednak stanowi wartość Łuku Gwiazdy, ale piękna jego budowa, proporcja, zasklepiony nad otworem bramy łuk półkolisty.



Najwspanialszą jednak ozdobą owej niezwykłej budowli jest jedna z czterech wielkich wypukłorzeźb, zdobiących cztery strony bramy. Grupa złożona z kilku postaci nadnaturalnej wielkości, postaci pośpiesznym krokiem dążących — naprzód, ku jutrzence wolności, — idzie człowiek w sile wieku, idzie chłopię niedorosłe, wszyscy z ogniem w źrenicach. A nad nimi unosi się postać skrzydlata z rozpostartemi ramionami z twarzą pełną zapału z rozwartemi ustami, z których zdaje się ulatywać płomienna pieśń rewulucyjna z r. 1792 — „Marsyljanka" „Idźmy, dzieci ojczyzny, dzień chwały nadszedł!...

Z czterech dzieł zdobiących „Łuk Gwiazdy" tak zwana „Marsyljanka", roboty rzeźbiarza francuskiego Bude'a jest perłą pierwszej urody. Jest też wogóle perłą w dorobku artystycznym Francji.

Ową skrzydlatą postać stanowiącą część grupy, podajemy w dzisiejszym numerze. Patrzcie, ile potęgi z niej płynie, ile sił nam przybywa, gdy wpatrujemy się w tę postać.

Pod arkadą łuku triumfalnego na placu Gwiazdy spoczęły przed laty kilku prochy Niezmanego Żołnierza i doprawdy trudno by było dla tych czcigodnych szczątków zaleźć godniejszego pomieszczenia.

HELENA WITKOWSKA

Z FINLANDJI.

Istniejący od lat kilku w Warszawie *„Komitet społeczny przysposobienia kobiet do obrony kraju“*, w skład którego wchodzi dwadzieścia kilka różnych stowarzyszeń kobiecych, wysłał przedstawicielkę swą, p. Witekównę do Finlandji, dla zbadania tamtejszych żeńskich organizacyj. Zapoznajmy się ze sprawozdaniem p. W.

Finlandja, zwana często „krajem tysiąca jezior“, liczy ledwo trzy miljony mieszkańców[1]), utrzymuje 30.000 wojska, obok którego istnieje organizacja ochotnicza, w liczbie 70000 ludzi, gotowa w każdej chwili do obrony niepodległości narodu. Kobiety finlandzkie są wszystkie niemal doskonale zorganizowane i należą do trzech wielkich związków: jeden z nich objął w całem państwie opiekę nad dzieckiem; drugi zajmuje się prowadzeniem świetlic dla żołnierzy; trzeci, największy i najruchliwszy, zdołał, w krąg swej pracy gospodarczej i sanitarnej, wciągnąć aż 47000 kobiet ze wszystkich warstw społecznych.

Zorganizowane w grupy, okręgi i rejony, kobiety te przechodzą odpowiednie kursy przygotowawcze, a obowiązkowem szyciem i wyrobem zabawek zarabiają na opędzenie znacznych kosztów organizacji. Praca ich pokrywa niemal całe zapotrzebowanie strojów dziecinnych do wielkich magazynów w Finlandji. Doroczna loterja przynosi znaczne dochody. Stowarzyszenie nosi nazwę *„Lotta“*, od imienia bohaterskiej kobiety z XVII-go wieku, z okresu walk Szwecji z Finlandją. Dzieje jej i czyny uwiecznił jeden z poetów w pięknym, popularnym poemacie, pod jej wezwaniem powstał związek kobiet — patrjotek, stojących czujnie na straży niepodległości narodu, który acz nieliczny i otoczony przemożnymi sąsiadami[2]) w organizacji swej, w kulturze i potędze moralnej czerpie siły do samodzielnego bytu i rozwoju właściwości narodowych.

---

[1]) Polska liczy ich już blisko 30 miljonów.
[2]) Rosja, Szwecja.



Co to jest? („Konkurs literacki“).

Dr. St. ELJASZ RADZIKOWSKI

ŚWIĘTY FRANCISZEK Z ASSYŻU.

W ubiegłym roku, jak wiadomo, upłynęło siedemsem lat, odkąd się skończyła pielgrzymka ziemska ś. Franciszka z Assyżu 1226. Wpływ, jaki ten święty wywarł i dotychczas wywiera na umysły ludzkie, jest przeogromny. Na czemże on polega, czemuż należy przypisać, że święty ów mimo, iż żył wcale niedługo, bo lat 44, a działał zaledwie lat 20, zdołał wywołać takie wrażenie.

Św. Franciszek z Assyżu oparł całą swoją działalność na wzorowaniu się podług nauk Chrystusa, — aby wzbudzić w sobie miłość dla bliźnich, własne zaparcie się i poświęcenie, celem uszczęśliwienia drugich.

Miłość pojmował św. Franciszek w rozmiarze bez granic. Obejmował nią cały świat ze wszystkiem, co się na mim znajduje, a więc nietylko ludzi, ale wszystkie stworzenia żyjące, rośliny, żywioły, wodę, skały, ciała niebieskie. Nie był to jednak pogląd, który się objawia w tak zwany panteiznie, bo miłość ta obejmowała przedewszystkiem osobę samego Boga oraz Chrystusa. Stosunek św. Franciszka z Assyżu do przyrody, do zwierząt, malują niezmiernie piękne legendy, które przedstawiają anielską dobroć jego serca. Kazania św. Franciszka do ptaków dają pojęcie o niesłychanej prostocie ducha, bożego przyrodnika.

I tak raz idąc w towarzystwie dwu braci z zakonu własnego, zobaczył wielką ilość ptaków, które obsiadły dzewo. Powiedziawszy do braci, aby go oczekiwali opodal na drodze, wyrzekł, że podejdzie pod drzewo, aby nauczać ptaszęta. I tak mówił, a ptaki nie rozpierzchły się i słuchały jego głosu.

„Ptaszyny, siostrzyczki moje, wiele się wami opiekuje Bóg, wasz stwórca i zawsze i na każdem miejscu powinnyście Go chwalić, ile że dał wam wolność latania na miejsce wszelakie, a takie dał wam sukienki podwójne i potrójne, a nawet i dlatego, że zachował nasienie wasze w arce Noego, ażeby gatunku waszego nie ubyło na ziemi. Ponad to jeszcze utrzymywać się możecie w żywiole powietrznym, który wam poruczył. Oprócz tego nie wy siejecie, ani wy zbieracie i Pan Bóg was karmi i i daje wam rzeki i krynice na spokój wasz, daje wam góry i doliny na schronisko wasze, i drzewa wysokie, abyście na nich wiły wasze gniazda. A pomimo tego, że nie musicie prząść, ani szyć, Bóg ubiera was i wasze dziatki. A zatem wielce was miłuje wasz Stwórca, skoro wam tyle wyświadcza dobrodziejstw. I dlatego wystrzegajcie się siostrzyczki moje grzechu niewdzięczności, a przykładajcie się zawsze do chwały Pana.“



Św. Franciszek (fresk Simone Martini w dolnej Bazylice w Assyżu).

— Dla malarzy, poetów i muzyków owe kazania do ptaków były wielokrotnie nadzwyczaj wdzięcznym przedmiotem do przedstawiania w utworach sztuki.

— To znowu kiedyindziej św. Franciszek wykupił od chłopca spotkanego na drodze turkawki niesione na targ, poczem wypuścił je na wolność w lesie otaczającym osadę braci, gdzie sam urządzał ptakom gniazda, aby się tam osiedlały i towarzyszyły zakonnikom przy pracy.

Do tych turkawek przemawia znowu tak.

„O siostrzyczki moje, turkawki, niewinne i czyste, dlaczegóż dajecie się chwytać? Teraz oto chcę was ocalić od śmierci i porobić wam gniazda, abyście płód wasz wydały i rozmnażały się wedle rozporządzeń naszego Stwórcy“.

Z HYMNU ŚW. FRANCISZKA Z ASSYŻU.

O nućcie, me ptaszęta i ty, siostro muszko,
i ty, mój świerszczu polny,
i ty, mój bracie wietrze,
i ty, mój ogniu, wiekuisty ogniu,
albowiem Miłość się rodzi
i pokolenia idą w imię Ducha
do walki z Przemocą i Zdradą!

JAN KASPROWICZ

Tak samo uwalniał ptaki i zające, uwikłane w sieci zastawione, odprowadzał zbłąkane owce, wykupywał jagnięta z rąk rzeźnika, zwierzęta chore najtroskliwiej opatrywał i leczył. Przestrzegał, aby nie deptać nieuważnie owadów czy innych drobnych stworzeń, dostających się pod nogi człowieka.

Zwierzęta wywzajemniały się ze swej strony św. Franciszkowi za tę miłość, jak mogły. I tak zdarzało się, że cała trzoda owiec opuściwszy paszę popędziła za świętym.

W okolicy miasta Gobbio pojawiał się wilk srogi, który był postrachem mieszkańców i ci też skarżyli się przed św. Franciszkiem na jego napady.

Święty udał się do lasu i tam go upominał, a wilk przyrzekł poprawę podaniem łapy przyrzekając dotrzymanie. Nawrócony wilk nie wyszedł źle na swej poprawie, bo jak mówi legenda, ludzie mu tak obfitej dostarczali strawy, że aż utył i żył jeszcze w zgodzie z ludźmi przez długie lata.



Krużganek cmentarny przy Bazylice św. Franciszka w Assyżu.

KAZIMIERA ALBERTI

JAK BYŁO U JANA KASPROWICZA NA HARENDZIE.

„Jakże Twe oczy — choć umarłe — płoną".
Jan Kasprowicz: — „Salome"

Zdawało się, że to zbuntowane serce — już nigdzie nie znajdzie spokoju i ukojenia.

Że skrwawione walką o dobro całej ludzkości, ręce nie odpoczną — nie znajdą już swego cichego kąta na ziemi całej.

A jednak znalazł się spokojny zakątek w obliczu granitowych olbrzymów — znalazł się skrawek ziemi — na wzgórku—nad szumiącą wodą, — który dał szczęście i ukojenie poecie—na krótko — przed śmiercią.

Tym kawałkiem ziemi — była Harenda. Syn nizin pokochał góry.

Duszę Kasprowicza określić można jednem słowem —szczyt. Wysoki szczyt.

Może dlatego właśnie uczuł to bliskie pokrewieństwo, ten związek, któremu tak ślepo uległ.

Harenda—ukołysała go.

Jan Kasprowicz, często przed śmiercią mówił do żony:

— Miałem bardzo ciężką młodość.



Dom na Harendzie.

I gdy tak patrzyłam na niego — leżącego na leżaku — na werandzie — z głową zwróconą w stronę Tatr—myślałam z ulgą:

„Tak, Harenda to jest dzieciństwo tego olbrzyma — to jest właśnie jego młodość„. Tutaj uśmiecha się tak — jak może nigdzie i nigdy się nie uśmiechał. Tak to jest zapomniany uśmiech dzieciństwa i młodości.

Uśmiech, który z sobą zabierze i odda matce-ziemi.

Pamiętam jeden dzień u Jana Kasprowicza na Harendzie.

Było to w czerwcu — na dwa miesiące przed śmiercią.

Zbudził się na leżaku i dał znać dzwonkiem.

Był to mosiężny, prosty dzwonek — taki, jaki mają owce na hali w górach.

Wyszliśmy na werandę.

Kasprowicz delikatnie głaskał ręką czuprynkę swego wnuka — Jasia Małaczyńskiego.

W oczach dziwne natężenie—koło ust nikły uśmiech.

Nie mówił nic. Od czasu do czasu powtarzał tylko:

— „Mydłek"

Tak bowiem nazywał małego Jasia.

Starałam się usilnie odgadnąć, o czem myśli — gdy tak gładzi schorowaną ręką główkę wnuka. Może o swojem dzieciństwie — o młodości, która była dla niego tak „bardzo ciężka".

Tak, z pewnością myśli o tem Jan Kasprowicz — tu, na Harendzie.

Jakżeż więc było na tej Harendzie — u wielkiego poety?

Jak się to stało, że ten kawałek ziemi ukołysał go i dał mu szczęście?

Było prosto.

Drewniany dom — wysoko — na wzgórku, nad potokiem, — którego szumu lubiał Kasprowicz godzinami słuchać — drewniany, spokojny dom — to gazdowstwo poety.

Tak, te dwa lata przed śmiercią—spędzone na Harendzie — w własnym domu — na własnym skrawku ziemi — to młodość poety.

Zespolił się tu zupełnie z Bogiem — z przyrodą i prostym człowiekiem.

Stał się nierozerwalną cząstką tej przyrody dumnej, górskiej — stał się jakby jednym z najwyższych szczytów w tym granitowym łańcuchu niezłomnych olbrzymów.

Wiedział o każdym zasadzonym kwiatku i drzewie — wiedział o każdem gnieździe, które jaskółki pod jego budowały dachem.

Całe kwadranse potrafił z żoną o tem mówić, czy zasadzony jesion przyjmie się przed oknami — czy nie.

Piękny ostatni tom poezyj „Mój świat“ był głębokim, rozrzewniającym wyrazem tych uczuć.

Potok, którego szum poeta opisuje,— nasturcje kwitnące wokół werandy,— jesiony,— zagubiony w mgłach pas Tatr, — szczyt Lodowego, rozżarzony zachodem słońca, — to był naprawdę jego jedyny ukochany świat.

Godzinami potrafił uśmiechać się w ogrodzie do swoich kwiatów — godzinami słuchać świru jaskółek.

To był „Jego świat“.

Śmiało z głową wysoko w górę wzniesioną—mógł to powiedzieć — i „Mój świat“.

A mówił to z pokorą najprostszego człowieka. I właśnie w tej pokorze leży jego wielkość. W tej bezgranicznej prostocie.

Wszystko jest wielkie i kwiat nasturcji, który rośnie przed oknem i szum potoku i odblaski zachodu na szczytach. Trzeba tylko umieć patrzeć. Trzeba tylko umieć podsłuchać — Trzeba tylko umieć czuć i nauczyć się kochać.

W miłości i bezgranicznem poświęceniu się leży mądrość. W prostocie i pokorze. Tak żył Kasprowicz jako twórca i jako człowiek.

Dlatego stanął na najwyższej wyżynie — jaką wogóle człowiek zdobyć może.

W sierpniowy wieczór siedziałam na werandzie — gdy na górach — po śmierci Kasprowicza — rozpalili ogień na jego cześć.

Myślałam:

—Kasprowicz był właśnie takim ogniem zapalonym na najwyższym szczycie, — ogniem, który nigdy nie przygaśnie — na zawsze płonąć będzie.

I jeszcze miałam jedną dziwną myśl, że tak jak one płonęły buntem i walką i troską o szczęście ludzkości — oczy Kasprowicza.

Przypomniało się mi zdanie z „Salome“:

„Jakże twe oczy, choć umarłe płoną“.

Ognie na górach powoli przygasały — pod Giewontem i na Nosalu — na Gubałówce — a ja myślałam:

— Ognie, które pozapalał swojemi słowami Kasprowicz — nie zagasną nigdy.

— To też, gdy po śmierci Kasprowicza — przyszłam na Harendę — nie miałam wcale wrażenia, że tego człowieka już niema, że już nie żyje.

Wyszłyśmy z panią Marją Kasprowiczową do ogrodu.

Uśmiechała się łagodnie i powiedziała:

— On tu wszędzie jest. Schylała się nad każdym kwiatem — słucha jak woda w potoku szumi — Janek tu jest — na Harendzie.

A mnie przypomniały się ognie zapalone na górach i to, co mówi Salome:

— „Jakże twe oczy — choć umarłe — płoną“.

* * *

Pamięci wielkiego „Syna ziemi“,
JANA KASPROWICZA.

W obliczu Tatr,
w obliczu Tatr,
dla prochów-ś pragnął urny, —
by halny wiatr,
by halny wiatr
wydzwaniał Ci nokturny;

by w smrekach grał,
w jesionach łkał
westchnieniem swem głębokiem!
Więc jakoś chciał,
tak będziesz miał:
mogiłkę nad potokiem!...

a skalny grób,
a rzewny grób
w tej szkarpie na Harendzie
u dworku stóp,
u dworku stóp —
spełnieniem życzeń będzie...

EDWARD KŁONIECKI

KORNEL MAKUSZYŃSKI

Dokończenie.

MÓJ PIERWSZY WIERSZ.

Pukam we drzwi cicho palcem, a głośno sercem. Wchodzę. Pokój wiruje razem ze mną. Widzę straszliwy osełedec na cudownej głowie wielkiego poety: broda zacna: potężne guzy na czole, kark byka, spojrzenie dziecka, uśmiech na ustach.

— Czego tam?

— Pan kazał mi tu przyjść...

— Ja? Pana? Poco?

— Po pieniądze...

Nie wyglądałem na brodatego żyda, więc Kasprowicz spojrzał na mnie wesoło jak na obiecującego warjata, który piękną w tym kierunku mieć będzie karjerę.



Jan Kasprowicz — mal. Jacek Malczewski w roku 1903.

— Kto pana przysyła?

— Nikt... Ja sam... proszę pana...

Ziemia drży pode mną. Uciec! uciec! za wszelką cenę uciec.

— Słodki panie, — mówi Kasprowicz używając ulubionego swego wyrażenia, — nie zawracaj pan głowy. Jak się pan nazywa.

— Kornel Makuszyński...

— Jak?

Powtarzam z cichym jękiem.

— To pan napisał te dwa sonety? Niemożliwe!

— To ja, proszę pana.

Kasprowicz wstał, obszedł mnie dokoła, obejrzał, uśmiechnął się. I ja się uśmiechnąłem. Lew poezji jest, widać, dobry jak dziecko. Pogadał ze mną, wypytał, zachęcił. Podał mi rękę i serdecznym głosem pożegnał. Miałem łzy w oczach. W administracji wypłacili mi za dwa sonety dwie korony, osiemdziesiąt halerzy. Byłem bogaty.

Ha! Wiele miłych rzeczy opowiadaliśmy sobie potem z Kasprowiczem; lecz, ile razy spotkałem Go, przypominaliśmy sobie nieodmiennie tę chwilę, kiedy olbrzym wziął karzełka w potężną swoją dłoń i cisnął go w literaturę.

Niedługo potem drukowałem wiele wierszy w doskonałem piśmie młodzieży akademickiej „Teka“ gdzie Staff wydrukował swój arcywiersz, genjalny wiersz p, t. „Kowal“. Wspaniałą redakcję „Teki“ redakcję, która się mieściła w jednym pokoiku, gdzie spało czasem pięciu przybyszów za fałszywym paszportem z Warszawy, a spało na starych gazetach. Mówili mi „kolego“ i nic nie płacili. Za sonet można się było napić herbaty; łyżeczkę zastępowała obsadka pióra.

Chodziłem „w sławie jak w słońcu“. Gębę upozowałem w śmiertelną powagę. Na czole miałem chmurę, w duszy boskie szaleństwo.

To też dostojnie i wspaniale brzmiał dialog podczas przerwy w gimnazjum. Dziś słynny uczony, wówczas kolega mój z szóstej klasy, Juljusz Kleiner, zawsze i wtedy niezmiernie poważny, zapytał mnie:

— Nad czem kolega teraz pracuje?

— Piszę poemat filozoficzny pod tytułem „Dusze“.

— Strofy?

— Tak, oktawy. To forma, którą najbardziej lubię...

Gdzie jesteś, młodości, młodości!

„W tem miejscu łza miast kropki padła“...

JAN WIKTOR

WIEWIÓRKA.

Wiewiórka górska to zgrabność, zwinność, chyżość, to błyskawica, która w skokach po ciemnych smrekach wykradła swe ciemne ubarwienie, często zdaje się, że przywarta siedzi nie ona, ale gałązka, która ożyła.

Godzinami śledzę jej igraszki, wędrówki, zabawy, polowania, skoki. Mignie tu, przetnie powietrze tam i już daleko zakołysał się konar pod ciężarem jej skoku. Nikt nie płoszy więc najspokojniej gospodarzy po podwórzach. Wszędzie zaglądnie. Jesienią pełno jej na drzewach owocowych. Gryzie miąższ, chcąc dostać się do ziarn, jej przysmaku. Kiedy człowiek się zbliża staje, trzymając się gałązki jedną łapką. Tylko bieli się jej podbrzusze.

— To ty hultaju owoce kradniesz.

A ona czuk - czuk, kic na łodygę, chwyta jabłuszko i rozigrana rzuca w dół.

Przechylona patrzy z roześmianą miną. A potem najspokojniej wspina się na wierzchołek, gdzie rozsiane jabłka uśmiechają się do niej.

Uśmiecha się też człowiek.

— Ach ty miły trzpiocie.

Innego zdania jest pies Wobo. Walczy z nią zawzięcie. Nic dziwnego. Drwi z niego w żywe oczy. I to z kogo? z tak poważnego psa. Nie do darowania. Czasem leży w cieniu, wypoczywa, a tu nagle szyszka pac. W sam nos. Co to? Zrywa się, biega wkółko. Kiż to licho? Strachy czy co? Ani nawet zdrzemnąć się nie można. Naraz wrzask. Piekło. Ach to ty! czekaj! Przyjdziesz pod moje zęby. Zawsze jej przyrzeka zemstę, zawsze wypowiada walkę, ściga, pędzi, kiedy ona buja po wierzchołkach. Jest to walka podwórzowego Don Kichota, który nie zdoła nawet na gałąź wyskoczyć. Wiewiórka nic sobie nie robi z głupich szczekań obelg, pomstowań. Można rzec gwizda na nie, siedząc na szczycie smreka.

Dzisiaj było tak.

Znudził ją sad. Jednym susem przesadziła przestrzeń wolną i już jej płomyk na smreku. Przyczepiona do szczytu buja kołysana łagodnym wiatrem. Może chciała łapką sięgnąć chmury, a może ku wronom skoczyć, które na pobliskim modrzewiu siedziały zadumane zcicha od czasu do czasu kracząc. Nie długo tutaj zabawiła. Po gałęzi, zbiegła na dach, jak po kładce. Na wolnej przestrzeni hasa, biega, ściga muchę, chce chwycić nić pajęczą. Aha — a co to? lśni kałuża — hi — hi. Woda deszczowa w rynnie. Opiera się łapkami o krawędzie rynny i pije niby chłop ze źródła. A potem staje, zastanawia się, machnęła puszystą kitą z ogromnego zdumienia. Obaczyła człowieka leżącego na ganku. Przechyla mądrą, myślącą główkę, jednem, a potem drugiem okiem zerka.

— Cóż to leży?

Kic — Kic — I czeka.

Nic — ale to nic się nie boję.

Niechby jednak drgnąć. Merd ogonem. Błysk ciemny. Już jej niema. A tylko zachwiana gałąź wskazuje, którędy umknęła.

Teraz jednak spokojnie bawi się. Ciarki ją przeszyły. Widać zadrżała. Parsknęła śmiechem.

—Ech to ciu — ciu—sia — kurom chcą dość jeść. Miałam się też czego przerazić.

Jakże to byłoby, żeby nie zbadała. Kic — kic na gałąź — po pniu — tylko pysznym ogonem zamiata. Hop i w sam środek stada zajętego dziobaniem wpadła Kury rozleciały się, jakby w nie piorun z jasnego nieba trzasnął. Na całem podwórzu gdakanie, wołanie o pomstę. A wiewiórka najspokojniej do korytka.

Po brzegu naczynia naokoło — naokoło.

A cóż tam w środku? — Ehe, niezłe.

Chwyta ziarnko i łuszczy, trzymając w dwóch łapach, tylko jej kosmyki uszu ostro sterczących trzęsą się.

Pierwszy kogut oprzytomniał, mruknął lekceważąco. — To ino wiewiórka — myślałem fras wie co, — dom jo ci.

Rozsierdzony, z zadzierżystą miną sunie.

— Co tu mi będziesz baby strachała i od jedzenia odpędzała. Jeszcze kto? ale taki szkut — fora ze dwora. — Zamachnął się dziobem ostro, groźnie.

C. d. n.

BAŚŃ TATRZAŃSKA O KRÓLU WĘŻÓW.

Ciąg dalszy (4).

Poznał, że biała i cały aż zżółkł i poczerwieniał ze złości, że po jego królestwie włóczą się ludzie bezkarnie. Ożóg ani dbał na jego gniewy, chociaż poznał, że to król wężów i dopiero o zmroku wrócił do wsi i nuż się przechwalać, jaki to on śmiały wojak.

Na ludzi padł wielki strach, robota wszystkim z rąk wypadła, bo starzy zaczęli przepowiadać, że będzie z tego wielka bieda. Mało kto spał tej nocy, wiatr się zerwał, dranice z dachów zrzucał, a złe śmiało się do rozpuku w starej wierzbie.

Nazajutrz słońce weszło czerwone, jak wielka krwawa plama i krwią rozlało się po niebie, wiatr jeszcze silniejszy świstał, straszny smutek opanował każde stworzenie. Psy ustawicznie wyły, bydło nic jeść nie chciało, tylko ryczało żałośnie, ludzie jak struci chodzili ze spuszczonemi głowami. W samo południe od strony Tatr rozległ się chrzęst zbroi i tentent kopyt, że aż ziemia zadrżała i jak wicher wpadł zbrojny hufiec rycerzy. Konie w pianach, a wszystkie wrone z zamrużonemi oczyma; rycerze żelazem okuci, wszyscy to na prawo, to na lewo chełtają spuszczonemi głowami, bo u wszystkich oczy zamknięte i śpią razem z końmi kamiennym snem. Śpiący rycerze ledwie przybyli, zaraz odebrali wszystkie dudki u gazdów, połowę bydła, owiec, moc ziarna, krup, słoniny, skrępowoli Ożoga i kilka najpiękniejszych dziewczyn na pożarcie dla tatrzańskich smoków.

Na odjezdnem przez sen powiedzieli do Szczawniczan tak: — Bądźcie ulegli wierni, to was nasz srebrny król będzie wszystkich, jak swoje własne dzieci kochał. Pracujcie, oszczędzajcie, nic nie marnujcie, bo my tu znowu za rok po dudki i po wszystko, co się królowi należy, przyjedziemy.

A tu we wsi sądny dzień: płacz, zgryz, lament i wyrzekanie. Po trzech dniach płacz się trochę uciszył, po miesiącu już nie widać zapłakanych oczów, a po dwóch w karczmie już rżnie muzyka, jak za najlepszych czasów, i kręcą się pary obracanego, raz po raz przytupując.

— Gazdowie, mówi Cap, a jak śpiący rycerze wrócą na przyszły rok, to jakże będzie? — Nie wrócą już, poco mają wracać. — Tak sobie straszyli nas tylko. Karczmarko, dawaj wódki.

I tak przeszła jesień, ci piją, ci tańczą, ci frajerują, a Jaś z Kasią smutni oboje, bo im dolega i nieszczęście co wisi nad ojczyzną i ludzkie zaślepienie. Perłowic patrząc codzień na posępne czoło rodzica, na łzę w matczynem oku, posmutniał, zbrzydły mu chłopięce zabawy.



.. bierze ręką — ani jej dźwignąć z ziemi nie może!

A gdy upłynął rok od przyjazdu śpiących rycerzy, znowu w samo południe od strony Tatr rozległ się chrzęst zbroi i tentent kopyt i jak wicher wpadli do Niżniej rycerze, co razem z końmi spali snem kamiennym. Nabrali znowu dudków, bydła, owiec i ludzi, a powiedziawszy to samo, co przed rokiem, odjechali, a do chaty chyłkiem koścista „bieda" zaglada. Cap zamilkł jak grób, Kasia płacze dzień i noc, a jedenastoletni Perłowic patrząc na rodziców aż wychudł nieboraczek. Pasał resztę rodzicielskich owiec pod Bystrzykiem, a że już się teraz nikt spojrzenia na Tatry nie chronił, więc i on usiadłszy na groniku po dniach całych przyglądał się kamiennemu tronowi. Słyszał od starszych, że królowi wężów przed wiekami napisano takie prawo:

„Będziesz się czołgał po tatrzańskich

wierchach, patrz stamtąd na świat, a gdzie tylko twój wzrok będzie mógł odróżnić na człowieku białą od burej guni, to wszystko twoje; — póki nie znajdzie się taki, co cię zwojuje".

Ostatnie słowa jak kleszcz wpiły się w myśl Perłowica. Każdego pytał, jakim sposobem go zmocować, ale nikt sposobu nie wiedział. Nie mogąc nic od ludzi się dowiedzieć, zaczął po całych dniach chodząc za owcami, grozić Tatrom ściśniętym kułakiem i raz po razu wołać wielkim głosem: — Panie Boże Wszechmogący, jak zwojować króla wężów? — ale lata mijały, a on odpowiedzi z nieba nie usłyszał. Śpiący rycerze rok rocznie przyjeżdżali po staremu.

Perłowic miał już lat czternaście.

Bieda i miłosierdzie rodziców wyciskały łzy z synowskich oczów i Perłowic nie mógł się uspokoić. Przepędziwszy owce pod Witkulę siadł na murawie, łzy jak grad sypały się na trawę. Tatry wspaniale wypłynęły z poza chmur i zajaśniały srebrem i diamentami. Perłowic nie wyciągnął z pogróżką ściśniętego kułaka, jak to dawniej czynił, czuł, że jest słaby i bezsilny i powiedział tylko cichuteńko: — Panie Boże Wszechmogący, jak zawojować króla wężów?

Na murawie, gdzie jego łzy spadały, coś się z lekka poruszyło, zielone liście wysunęły się z pod ziemi, z liści wysoka wytrysła łodyga, pączek się roztworzył i biała lilja powiedziawszy: „Bóg miłosierny" znikła. Cudowna woń pozostała po niej, a w duszy Perłowica szczęście że go Bóg wysłuchał i że mu lilja powie, jak zmocować króla wężów.



...skrępowali Ożoga i kilka najpiękniejszych dziewczyn na pożarcie dla tatrzańskich smoków.

Cały dzień był bardzo wesoły, nic nikomu o lilji nie mówił, w nocy o niej tylko śnił i niecierpliwie czekał ranka. Nazajutrz wcześniej jak zwykle wygnał owce i usiadłszy na tem samem miejscu, co wczoraj, powiedział cichuteńko: — Panie Boże Wszechmogący, jak zwojować króla wężów? — ale nic się dziś nie poruszyło, zielone liście nie wysunęły się z pod ziemi i nie wytrysnęła wysoka łodyga. Zdziwił się Perłowic, a potem zesmutniał bardzo, prosił i błagał, nic nie pomogło. Kilka dni próbował, ale napróżno, tydzień jeden i drugi upłynął, lilji jak niema tak niema.

Nastały żniwa. Perłowic wciągnął się

do roboty i był rad, że rodzicom trudów umniejsza. Ledwie z tą myślą zaczął usilnie pracować, zaraz usypiając wieczorem posłyszał jakby muzykę, jakieś szumy i brzęki, a złote pszczoły jaśniejące jak gwiazdy raz po raz zjawiały się przed nim, to pojedyńczo. to tłumnie. Im więcej ich było, tem głośniejszy szum, tem większe wesele napełniało duszę Perłowica. Poznał odrazu, że to siostry lilji i codzień gorliwiej pracował, żeby jej się zasługiwać. Złote pszczoły często go zaczęły nawiedzać, ale ile razy spodziewał ich się na pewno, to ich niezawodnie nie ujrzał.

Mając lat piętnaście, Perłowic nie pasał, bo już rycerze ostatnie owce zabrali, ale jak tylko w polu roboty nie było to po całych dniach łapał ryby i podbierał niemi matczyną spiżarnię, gdyż bieda w chacie już się na piękne rozgościła.

W głębi Pienin nad Dunajcem, co go z obydwóch stron straszne skaliska ścisnęły, siedział raz szesnastoletni już Perłowic i szybko przesuwał wędkę.

Mimo połowu szczęśliwego wyrostek bardzo był smutnym, ręce łapały ryby, ale myślał o czem innem i westchnąwszy głęboko zaszeptał w głębi serca:

— Panie Boże Wszechmogący, jak zwojować króla wężów?

Ze skały lilia wytrysnęła. Biały kwiat pochylił się nad uchem Perłowica i powiedział: — Usłyszysz dziś w nocy. — Cudowna woń rozlała się, lilja znikła. Perłowic upojony dziwną słodyczą upadł na kolana i ze łzami dziękował Panu Bogu.



...co kilka pstrągów schwycił, to dawajże kamienie nad Dunajcem dźwigać...

Ledwie mógł się doczekać wieczoru. Całą noc pacierz za pacierzem odmawiał, bojąc się, żeby jaką luźną myślą lilji nie spłoszyć.

Nad ranem zaszumiało, złote pszczoły zaczęły się tłumnie snuć, a potem lilja się zjawiła i rzekła: „Broń na Siodełku, jak dźwigniesz nie oglądając się idź w Tatry“. To powiedziawszy znikła, słodka woń rozeszła się po izbie.

Siodełko jest to maleńka równia na południowej pochyłości Bystrzyku. Nad Siodełkiem ku szczytowi kamienna ściana, — pod Siodełkiem ku Dunajcowi znowu ściana, tylko od wschodu przystęp na którym smreki bujnie szumiały.

Ledwie się rozwidniło, zdyszany Perłowic wbiegł między nie i dawajże się na wszystkie strony rozglądać, czy gdzie

miecza, włóczni albo dzidy nie spostrzeże. Kilka godzin szukał i szukał, po sto razy każde miejsce maleńkiej dolinki przeszedł; nic niema, tylko dosyć cienka osikowa paliczka leży w jednem miejscu pod skałą. Mijał ją ciagle nie tykając, ale nakoniec potrącił ją nogą przypadkiem. Stłukł się o nią okrutnie, a ta z miejsca ani drgnęła. Bierze ręką, — ani jej dźwignąć z ziemi nie może! Zmiarkował, że to właśnie jego broń. Szamotał się do południa, żeby ją podnieść — ale ani rady!

Poszedł na ryby, umyśliwszy sobie, że musi zostać takim siłaczem, żeby ją koniecznie dźwignąć. Od tego dnia Perłowic co kilka pstrągów chwycił, to dawajże kamienie nad Dunajcem dźwigać coraz to większe; zmordowawszy się siada z wędką, a odpocząwszy znowu dźwiga.

c. d. n.

GUSTAW MORCINEK

Nasze obrazki: LILLA WENEDA.

Dnia 25 czerwca b. r. przeżyje cała Polska znowu jedną chwilę, pełną głębokich a wzniosłych wzruszeń. Oto w dniu tym wracają do Ojczyzny zwłoki jednego z największych naszych poetów, zwłoki Juljusza Słowackiego, spoczywającego od roku 1849 w obcej ziemi, na cmentarzu paryskim. Królewskim pogrzebem uczci naród polski swego poetę i wieszcza, na okręcie przez morze, a z Gdańska po Wiśle sprowadzi je do Krakowa, by je złożyć z wielką czcią tam, gdzie nasi królowie spoczywają, — w katedrze wawelskiej. I słusznie, boć On naprawdę nad duszami całych pokoleń władzę królewską dzierżył, trzymając je w słodkiej niewoli, poezji i piękna, i nadludzkiego umiłowania Polski.

Napisał on dużo, dużo dzieł poetyckich i to tak pięknych, żeby może nawet nikt z was nie uwierzył. Do jednych z najpiękniejszych należy dzieło p. t. „Lilla Weneda". Na naszym obrazku, na okładce, widzimy przedstawioną scenę, wyjętą z „Lilli Wenedy", malowaną przez naszego malarza E. Andriollego[1]). Przypaczcie się. Oto młoda dziewczyna w bieli, z rozwianemi włosami złotemi, z różami na głowie, siedzi w jakiejś jaskini na kamieniu i na złocisłej harfie gra. A obok niej kłębi się mrowie szpetnych gadów i wężów, które oczarowane jej muzyką, podnoszą ku niej swe jadowite głowy i słuchają, słuchają... I nic złego jej nie czynią. Poza nią, w głębi, czerni się ponura czeluść, pełna niezgłębionego mroku i tajemniczego przerażenia. To tam jej ojciec się znajduje, gdzieś w głębi, przez złą Gwinonę oślepiony i między jadowite węże na śmierć okrutną skazany. A Lilla, miłująca nad życie nieszczęśliwego, starego ojca, poszła między one szpetne gady, by złość ich muzyką ułagodzić, by ojcu jej krzywdy nijakiej nie czyniły i w ten sposób od śmierci go uratować. Siedzi teraz samiuteńka biedaczka i drobnemi, zmęczonemi paluszkami dzwoni w twarde struny a muzyka taka słodka i taka niewysłowiona płynie z pod jej rączek, że aż te poczwary bez drobiny litości, do cna urzeczone zostały i litość dla niej wyczuły. A Gwinona ani takiego serca, jak te węże, nie miała, ona wcale serca nie miała... Lilla gra na złocistej harfie, już długo rączyny jej omdlewaja znużone, a to jej drobne serduszko to tylko tak łopoce w piersiach i łopoce, kieby ten ptaszeczek drobniuchny, pełen lęku i trwogi. A w oczach jej gorze płomień ofiary dla ojca, a w rysach jej blendziuchnej twarzyczki widać rozpacz i ból przeogromny. Zimne światło księżyca oświeca ją z boku, mieni się niesamowicie w złoceniach harfy, kładzie się mrąco na kamieniach. Z lewej strony widzimy dwóch rycerzy Lechowych, zaglądających w głębie jaskini, by się przekonać, co się tam dzieje.

Kto to był ów Lech i jego zła żona Gwinona i ta słodka dziewuszka Lilla Weneda i jej ojciec oślepły, jakie były ich dalsze losy, czy też Lilla wybawiła ojca od śmierci,— dowiecie się sami. Zwróćcie się tylko do waszego pana nauczyciela i poproście go o książkę „Lilla Weneda" Słowackiego i przeczytajcie, a zapewniam was, że nie pożałujecie. Wtedy sami się przekonacie, jak wielkim poetą był nasz Juljusz Słowacki. A potem napiszcie do nas, czy wam się ta książka podobała i co wam się najbardziej podobało i dlaczego się wam to podobało. Nie zapomnijcie!...

[1]) Nasz malarz, Elwiro Andriolli urodził się w Wilnie. Jego ojciec był narodowości włoskiej, matka zaś polskiej. Urodził się w r. 1836, umarł w r. 1893. Mimo nazwiska włoskiego czuł się zawsze Polakiem.

Był to nasz najsławniejszy ilustrator, czyli malarz, który malował dużo, dużo ilustracyj do przeróżnych dzieł, jak naprzykład do „Pana Tadeusza", „Lilli Wenedy", „Starej Baśni", „Marji" Malczewskiego i do wielu in.

ZOFJA KOSSAK-SZCZUCKA

DOCZEKAŁ.

(Z PRAWDZIWEGO ZDARZENIA).

Wawrzyn Hajda wyciągnął rękę i zmacał leżący na stoliku świeżo otrzymany list od Piotra Rudy. Był to list prawdziwy, po polsku pisany, — nie zwykła karta z frontu bezosobowa i martwa zawierająca krótkie stereotypowe zapewnienie po niemiecku: „Jestem zdrów i dobrze mi się powodzi". Ruda był mądrala nielada i zawsze potrafił nietylko list napisać, ale go unteroficerowi pod dobrą chwilę podsunąć, że stampilę cenzurową nie patrząc przyłożył i list do worka pocztowego wrzucił. Stary ślepiec obracał go ostrożnie w dłoniach, z radością wspominając treść, tak jak ją przed chwilą przeczytała jednym tchem gospodyni, paniczka Gracowa. Spieszyła się do kuchni, więc nie śmiał prosić o przeczytanie powtórne. Teraz wodząc dłonią po papierze przypominał sobie, że najprzód były pozdrowienia dla wszystkich krewnych i zmajomych, potem pomyślne wiadomości o własnem, Piotrowem zdrowiu, — a potem, to właśnie... W którem miejscu? Położył list na kolanach, przesuwając po nim ostrożnie palcami wrażliwemi jak struny skrzypcowe. Litery z których składały się słowa niezwykłe winny się przecie czemś wyróżniać? Być większe, wypuklejsze... Jak wyglądają litery?

Z gęstego zasieku ciemności trwającej już prawie pół wieku, myśl wierna wywlokła na wierzch mętne wspomnienie jednostajnych sznureczków, czerniejących na białym papierze. Zlewały się w jedno, nie pamiętał już poszczególnego kształtu żadnej. Więc wnet w ich miejsce nadpłynęła usłyszana nowina we własnej swojej postaci. Miała barwę lekkiego płomienia obrzeżonego błękitem, zadźwięczała pełnym, radosnym tonem wyrazów: „...tu wszyscy godajom że Polska być musi i będzie, bez niemieckiej łaski... Wojska polskiego już pono kajś tam po ruskiej i aljanckiej stronie jest wielko kupa... Rychtujcie Wawrzon nowe śpiewki bo Polska bydzie naprowdę, ze wszystkiemi wsiami kaj jeno po polsku godajom"...

— Czem sobie Ruda ujednał unteroficera że podobne pisanie przepuścił? — Niewiadomo. Dość, że przepuścił i oto list śpiewał tęczą myślom ślepca. Ukrywszy go w zanadrzu stary Hajda plótł gorliwie z płaskiej trzciny siedzenie do krzesła, co było jego zwykłem zajęciem od lat; — plótł, zasłuchany w echo słów:

...Bydzie!... I Śląsk razem... O Jezu!... Opuścił ręce z robotą bo duszność go zdjęła na chwilę z radości, lecz zmógł ją i pracował dalej, zatopiony w myślach. Niosły go daleko, ku Polsce. Ze wspomnień młodości szczęśliwej, widzącej zachował w pamięci niektóre obrazy, wizje nadobne, które stały się dlań z czasem niezmiennemi symbolami-pojęciami. Więc Polska jawiła się przed nim zawsze jako zielono modre błonie rozległe, zalane słońcem. Po tem błoniu, na którem nie stał ani jeden żandarm w pikielhaubie, ani jedna tablica z tym albo innym verboten,— jechali trójkami ułani. Widział takich niegdyś, niegdyś, na kolorowej litografji z obrazu Kossaka. Zapamiętał. Mieli długie łance z wąskiemi proporczykami, rabaty kwitły jak grzęda w ogrodzie, konie szły strojnie, lekko wyginając szyję. Jadą, śpiewając:

...Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę...
Będziem Polakami...

Tętni ulegle ziemia pod rytmiczną chłostą kopyt, burza młodych głosów niesie pieśń. Szumią proporczyki w wietrze.

Wśród gęstego mroku zalegającego izbę dokończył wyplatania krzesła. Przesunął dłonią po rękawie kapoty w którym zauważył był przedtem rozdarcie. Z drewnianego pudełka wyjąwszy igłę i nici, ruchem pewnym, niepojętym w swej sprawności dla człowieka widzącego, nawlókł nitkę i począł naprawiać ubranie starannie, pieczołowicie, prostując każdy ścieg palcem. Puste, wypalone przy wybuchu w kopalni oczy, utkwił przed siebie zamyślony, ostrym profilem głowy chudą szyją majacząc na tle okna niby wielki, oczekujący dnia, ptak. „...a dycki śpiewomy pieśniczki coście nos nauczyli, żeby zaś Szwoby w całym szwadronie wiedziały żechmy Poloki"... zabrzmiały mu w uszach dalsze słowa listu. Uśmiechnął się do nich w ciemności, a wyciągając

zwolna, precyzyjnie igłę, pobiegł myślami wstecz daleko, ku latom młodym, tak niewymownie odległym i od dzisiejszych różnym, że w zdziwieniu pytał się niekiedy sam siebie, zali możliwe, aby on to sam żył od tak dawna?

...Dobrotliwie pofałdowana twarz księdza Purkopa, co pierwszy polską książkę dał do ręki... Lompa, Miarka, niestrudzeni budziciele co go miłować Polskę nauczyli, którym zawdzięczał właściwą swą duszę... Wiecznie odpocznienie racz im dać Panie! Pomarli dawno. Młoda żona... dzieci... Nawpół zatarte obrazy roześmiane w słońcu... Nie żyją także od lat...

Jego to było życie, — jego własne?

Patrzał na świat bystremi oczami. Schodził codzień w głąb kopalni jak król do swojego państwa. Grało mu wszystko i śpiewało, nawet stukanie kilofów, zgrzyt taczek... Śpiewała w nim dusza weselem...

— Aż się zwaliło zaczajone w głębokiej sztolni nieszczęście...

Schował igłę do pudełka i wdział naprawioną kapotę. Myśli szły dalej gościńcem wspomnienia. Bryła kalectwa jak kamień graniczny dzieliła jego życie wewnętrzne na dwie części. Gdy zamarły kształt i barwa, nowej, przedziwnej dla skołatanej duszy treści nabrał dźwięk. Stał się kolorowym, pełnym, zdolnym, powoli zastąpić wszystko inne. W głębi nieustannej nocy pojął dopiero teraz niezmierną jego ważność, dzielność i przekonywującą moc. Zrozumiał mowę tonów, przemądrą ich harmonję wybiegającą daleko poza możliwości języka ludzkiego, określone ciasną granicą wymowy. Wydało mu się, że dopiero teraz miłuje Boga i Polskę prawdziwie, gdy wielkość Ich, dostojność i piękno umie wygrać i wyśpiewać. Każde wrażenie zmieniało się w pieśń pocieszycielkę. Tych skarbów odkrytych nie czuł się w prawie schować dla samego siebie. Uczyć pieśni! Budzić pieśnią! Pieśnią wlać w serca wytrwałość, jasność niezachwianą w myśli! Ubogi kaleka stał się rozdawcą skarbów nieprzebranych. Dzieło wielkich wskrzesicieli, Stalmacha, Miarki, on dopełniał śpiewem, utwierdzał na fundament pieśnią.

c. d. n.



Co to jest? („Konkurs Literacki".)

SEWERYN UDZIELA

W NIEDZIELĘ KWIETNIĄ.

Dokończenie.

Przecież my tam przyjdziemy, gdy djabeł będzie w kościele.

— A jak wróci, zanim uciekniemy z pieniędzmi?

Staś nie myślał o takim wypadku i bez namysłu rzekł:

— Pokazałbym mu język!

— Aha, pokazałbyś, a on w okamgnieniu skoczyłby i urwałby ci go.

—No, wiesz, nie pokazałbym mu języka, ale przeżegnałbym się prędko, a djabeł ucieka zawsze przed krzyżem.

Nieraz jeszcze i długo rozmawiali obaj przyjaciele o tej sprawie, wreszcie po długich naradach i namysłach zgodzili się, że obaj pójdą po skarby pod brzezinkę, niedaleko zamczyska w tę Niedzielę Kwietnią. Wtedy to Staś powiedział matce, że jej przyniesie dużo pieniędzy.

Zaczęli się teraz umawiać z Ziuziulilikiem kiedy wyjdą z domu, gdzie się spotkają, czy też jeden przyjdzie po drugiego. Radzili nad tem, co wziąć na pieniądze, bo kieszonki mają małe, więc cóżby się w nich mogło zmieścić. Stanęli na tem, że jeden weźmie starą torbę matczyną, a drugi woreczek na kaszę. Trzeba też wziąć kredy święconej, trzech królowej bo najbezpieczniej będzie opisać się tą kredą dookoła i w ten sposób nie dać djabłowi dostępu do siebie.

Wieczorem w sobotę przed Niedzielą Palmową usiadła matka obok dzieci i cerowała bieliznę.

— Jutro, moje dzieci Niedziela Kwietnia, czyli Palmowa. Ksiądz w kościele święci palmy na pamiątkę wjazdu Chrystusa do Jerozolimy, gdy go witali radośnie i rzucali mu palmy pod nogi. W czasie mszy św. czyta ksiądz ewangelję o męce Pana Jezusa, a jest to najdłuższa ewangelja jaką w ciągu roku czyta kapłan przy mszy świętej. A wiecie, dzieci, co ludzie opowiadają sobie o tej niedzieli?

— Powiedz nam mateczko kochana — zawołała Zosia a Staś zaczerwienił się i nadstawił uszy, bo pewnie usłyszy zarazem z ust mamy to opowiadanie, które zna od babki kolegi.

I nie omylił się. Mama opowiadała o zaklętych skarbach pod brzezinką niedaleko zamczyska i o kobiecie, której dziecko rok cały przesiedziało zdrowe na skarbach pod ziemią. Gdy skończyła zsunął się Staś z krzesła, stanął przed matką i zawołał:

— Mateczko, ale czy to tylko prawda, czy skarby tam są i czy otwierają się raz do roku. Czy można iść tam i nabrać pieniędzy?

Matka popatrzyła uważnie na syna, spostrzegła jego rozgorączkowanie i domyśliła się zaraz, że to o tych pieniądzach myślał, marząc, że wnet przyniesie je i że wszyscy będą się mieli dobrze. Pogłaskała go po głowie i przycisnęła do serca to ukochane, poczciwe dziecko które nie obawiało się nawet czarta, aby matkę z biedy wyratować. I żal się jej zrobiło, że musi te marzenia, te nadzieje oszukać i zasmucić chłopczynę.

— Mój Stasiu, — powiedziała — to wszystko, co ludzie opowiadają o zaklętych skarbach, których djabeł pilnuje, o tem że otwierają się one raz do roku, albo że je czart czasem przesuwa, to wszystko są bajki, jak wiele innych o zaklętych księżniczkach, których strzegą zamki złocone, o wielkoludach, to znowu o mądrych krasnoludkach, o czarownicach i czarnoksiężnikach i wiele, wiele innych. W ziemi są wielkie skarby jak węgiel, sól, różne rudy metalowe, które wydobywają, bo nam są potrzebne. Zapewne, że są tam także zakopane pieniądze w niejednem miejscu, bo kraj nasz niejednokrotnie pustoszyli nieprzyjaciele, przed którymi ludzie musieli uciekać, a nie mogąc zabrać pieniędzy, gdyż dawniej nie było pieniędzy papierowych, tylko złote, srebrne, miedziane, dlatego, że trudno z takiem ciężarem uchodzić, zakopywali je, by po uspokojeniu się kraju po powrocie w rodzinne progi, módz je zabrać. Gdy jednak kto w wojnie zginął, a przed śmiercią nie mógł nikomu wyjawić miejsca ukrycia skarbu swego, skarb ten pozostał zakopany i gdy go kto nie znalazł przypadkiem, pewnie czeka na odkrycie szczęśliwego do dnia dzisiejszego. Takie przypadki dały początek onym bajkom o skarbach ukrytych, których djabli pilnują.

Dzieci słuchały ciekawie opowiadań matki, a Staś rozpłakał się z żalu, że tak smutnie skończyły się jego zabiegi o zdobyciu pieniędzy dla mateczki biednej.

ROZRYWKI

„Duszę swoją zwolna i codzienną pracą przekuwaj, aby nie mieściła w sobie nic oprócz tego, co narodowi życie zepewnić może".

ZAGADKA MATEMATYCZNA

W kilku listach do nas, zwracaliście się z zapytaniem — dlaczego nie ogłaszamy rozwiązań z „Konkursu na wytrwałość" — otóż dlatego, że wielu w ten sposób mogłoby opisać rozwiązania i nadsyłać jako swoją pracę, a tłumaczyć się tem, że późno otrzymali pisemko. Wyniki będą umieszczone dopiero pod koniec roku szkolnego t. j. w czerwcu.

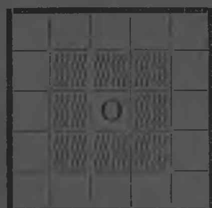
Wszystkim tym, których prace są umieszczone w „Konkursie na wytrwałość" — również liczymy tę ilość punktów, która przypada z ich własnych zagadek.

Rozwiązania możecie nadsyłać razem w jednej kopercie, albo też z kilku numerów naraz tak, aby tylko Wam było jak najwygodniej i najtaniej.

ZAGADKA MATEMATYCZNA

ułożył J. Wroczyński

(za rozwiązanie 3 punkty.)



W każdą kratkę kwadratu wstawić cyfry i odnaleźć liczbę zaznaczoną literą „O" — wiedząc, iż suma cyfr w kwadratach białych jest o 1 większą od liczby „O", a suma cyfr, leżących na przekątni = 120; suma zaś cyfr w kwadratach czarnych da liczbę poszukiwaną.

ŁAMIGŁÓWKA

ułożył Janba

(za rozwiązanie 2 punkty).



W obok podane kwadraciki wstawić następujące litery: a,a,a,a,a, a, — b,b, — c,c, — d,d,d, — e,e,e, — h, — i,i,i, k,k,k, — l,l, — m,m,m, — n,n, — o,o, ó. — r,r,r,r, — t,t, — u, — w,w,w, — y, — z,z, — tak, żeby utworzyły 8 wyrazów. Litery przypadające w miejsce czarnych znaków—dadzą nam nazwisko wielce ulubionej powieściopisarki polskiej.

Znaczenie wyrazów:

1) rodzaj zegarka. 2) miasto na prawym brzegu Wisły przy ujściu Narwi. 3) nazwa otworu wulkanu. 4) przędza gąsienicy jedwabnika 5) imię żeńskie. 6) nazwa choroby nóg u zwierząt. 7) barwa. 8) najsilniejsze zwierzę.

ŁAMIGŁÓWKA

ułożyła „Luba"

(za rozwiązanie 4 punkty).



Niżej podane litery tak umieścić w kwadratach, aby czwarty rząd, licząc od góry na dół, dał nazwę dwuch najwyższych szczytów w Afryce.

Znaczenie wyrazów:

Poziomo.

1) Rzeka w Afryce.
4) Spółgłoska.
5) Samogłoska.
6) Rodzaj broni.
7) Inaczej mieszkanie.
11) 365 dni.
15) Spółgłoska.
16) Miara.
17. Samogłoska.

Znaczenie wyrazów:

Pionowo:

1) Zwierzę drapieżne.
2) Mieszkaniec Ameryki.
3) Odbicie głosu.
8) Inaczej cel w życiu.
9) Chata murzyna.
10) Narzędzie do szycia
11) Miasto we Włoszech .
12) Wojsko inaczej.
14) Dźwignia.
18) Stolica Łotwy.
19) Częśc dnia..
16) Działanie rachunkowe.

Należytość pocztową opłacono ryczałtem.

JAK SIĘ CO ROBI.

Politurowanie. Politura robi się z szellaku rozpuszczonego w spirytusie (zazwyczaj denaturym, gdyż jest tańszy od zwykłego). Szellak wsypuje się do jakiegoś naczynia i zalewa spirytusem tak, ażeby warstwa szellaku była mniej więcej równa warstwie spirytusu nad szellakiem. Po kilku godzinach, gdy szellak się rozpuści, trzeba cały roztwór dobrze skłócić i postawić, aby męty ustały się na dnie.

Roztwór ten stanowi politurę, którą należy trzymać w zakorkowanej butelce, bo inaczej prędko wysycha.

Deseczka, którą mamy politurować, musi być sucha i doskonale wygładzona. Maczamy w politurze szmatkę i okrągłemi ruchami rozprowadzamy ją szybko po całej powierzchni deski. Gdy szmatka wyschnie, maczamy ją znowu i trzemy dalej. Po paru godzinach tarcia deseczka nabierze lustrzanego połysku.

Przed politurowaniem możemy deseczkę pobejcować na jakikolwiek kolor. W tym celu kupujemy za kilkanaście groszy odpowiedniego koloru bejcy, rozpuszczamy ją w wodzie i malujemy nią deseczkę w przeddzień politurowania.

(Uwaga: Szellak i spirytus denaturowany możemy dostać w składzie aptecznym, bejc tamże, lub też w składzie farb).

Roman Boguszewski

FACECJE Z DAWNEJ POLSKI.

GRYF A LIS.

Gryf królem jest ptaków i czworonożnych. Bojąc się śmiałości jego, ptaki w gałęziach dębu się skryły. Gryf, pragnąc łupu czy też gniewem rozsrożony, raz po razie rzucał się na gałęzie dębu tego, myśląc że drzewo obali lub gałęzie połamie — z większą jednak dla siebie szkodą, niż dla drzewa. Bowiem skrzydło sobie wywichnął i w bólach tarzał się po ziemi. Zbyt późno dowiedział się, co może zdziałać miotanie się na drugich. Gdy oglądał się za pomocą — nadchodzi *lis* i zwolna przystępuje.

Gryf do niego:

„Czy nie znasz lekarstwa na boleści?"

Lis: „mistrz mistrzów — nie miałbym wiedzieć"?!

Gryf: „Pomóż mi, zrobię cię drugim w królestwie".

— „Jeśli żądasz pomocy ranę trzeba pokazać".

— „Skrzydło wywichnąłem".

— „To nierówność skrzydeł jest powodem, że latać nie możesz, gdy skrzydła równe będą, wróci moc latania".

— „Dobrze, do prawdy podobnem zdaje się, co mówisz".

— Każe mu więc lis skrzydło nienaruszone między dwa drzewa wsadzić aż po pachę i całą siłą naprzód się rzucić.

„Śmiało! — ratunek w twoich rękach".

Gryf uwierzył, rzuca się naprzód i skrzydło nie wywichnął, ale złamał i pokruszył.

Bez skrzydeł więc zdech z głodu i lisy a robaki go zjadły. *Wybrał prof. T. Tyc.*

TREŚĆ NUMERU 5-GO Z DNIA 15-GO MAJA 1927 R.

Pismem kieruje: Komitet redakcyjny pod przewodnictwem **D-ra Ignacego Chrzanowskiego** Prof. Uniw. Jagiell.
Adres Redakcji i Administracji: Katowice, ulica Wandy L. 41. Wydawca: **P. Stasiak.**
Redaktor odpowiedzialny: **Mieczysław Gładysz**, Katowice, ulica Wandy 41.
Przedstawicielstwa: **Warszawa**, Krakowskie Przedmieście 1, **Jerzy Karbowski.**
Wilno, Benedyktyńska 2 — 3. Skład Główny na Wilno i Wileńszczyznę księgarnia C. Zarządu P. M. Sz. Z. W.
Zakopane, Nowotarska 104.
Warunki prenumeraty „Orląt" z przesyłką pocztową: — kwartalnie 1.50 zł., — półrocznie 2.80 zł., — rocznie 5 zł.
Numer pojedyńczy 25 gr. Zagranicą rocznie 2 dolary. Konto w P. K. O. 303 600.
Prenumerata „Orląt" i „Orlątek" razem: kwartalnie 2 zł. — półrocznie 3.70 zł. — rocznie 7 zł.
Ogłoszenia: za wiersz wysokości 1 mm., szerokości 1 łamu 40 gr. Kolumna posiada 2 łamy.

Drukarnia i Introligatornia L. Martynkowski i L. Nowak w Sosnowcu.